

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 „ — 40 „

1/4 „ — 20 „

1/8 „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Dokoła paktu wschodniego.

W przeciwieństwie do analogicznych przemówień b. ministra spraw zagranicznych Zaleskiego, exposé obecnego ministra Becka, wygłoszone na posiedzeniu sejmowej komisji spraw zagranicznych w d. 1 lutego b. r. nie zawierało żadnej wzmianki o Litwie, tak, jakby bolączka zatargu polsko-litewskiego nie dawała znać o sobie. Pominął również min. Beck miąższość zagadnienia polityki bałtyckiej, poprzestając na paru zdawkowych uwagach o swej podróży do Estonii via Łotwa.

Trudno zgadnąć, czemu należy przypisać to zlekceważenie kwestyj, które dotychczas zajmowały w polityce zewnętrznej polskiej jedno z naczelných miejsc. Być może minister nie chciał zawczasu otwierać kart, mając określone plany i zamiary na tym odcinku, a być może wolał prześliznąć się nad drażliwym tematem ze względu na brak sukcesów, którymi mógłby się tu pochwalić.

Nie jest bowiem tajemnicą, że ententa bałtycka w tej formie, w jakiej doszła do skutku i jaka zaczyna coraz bardziej się krystalizować i utrwalać, jest zjawiskiem niemile widzianym przez politykę polską, pragnącą zapewnić sobie wpływ dominujący w tej części Europy wschodniej. Było jednakże do przewidzenia, że rola opiekuńcza Polski w stosunku do małych państw nadbałtyckich, która miała wszystkie widoki powodzenia, dopóki Polska znajdowała się w tem samym położeniu, co jej północno-wschodni sąsiedzi, musi się skończyć z chwilą zbliżenia z Niemcami i oziębienia stosunków z Francją.

Wprawdzie na przeszkodzie do ściślejszego porozumienia pomiędzy Polską a całkowitym blokiem państw nadbałtyckich stała kwestja wileńska, eliminująca z tego bloku Litwę i zmuszająca ją do zajmowania stale stanowiska odosobnionego, była to

wszakże przeszkoda o charakterze lokalnym, której usunięcie przy dobrej woli z obu stron nie było niemożliwością. Sytuacja zasadniczo się zmieniła po zawarciu przez Polskę z Niemcami paktu o nieagresji, który niebawem w opinji świata politycznego — mniejsza o to, słusznie, czy niesłusznie — nabral cech niemal tajnego sojuszu, mającego na celu wzajemne poparcie w zakresie bliżej nieokreślonej, a przeto budzącej ogólne zaniepokojenie ekspansji na wschód.

Z tą chwilą Polska przestała być dla państw nadbałtyckich naturalnem oparciem przeciwko permanentnie grożącemu im niebezpieczeństwu „Drang nach Osten”, natomiast przybrała w ich oczach zagadkową postać, budząc nieufność i obawy, podsyłane usilnie przez zainteresowane bezpośrednio Sowiety i pośrednio przez zaprzyjaźnioną z nimi Francję. W tych nowych warunkach nastąpiło to, co musiało nastąpić, a co przez szereg lat nie dawało się skutecznie. Litwa zrezygnowała ze swego postulatu wileńskiego, jako warunku porozumienia bałtyckiego, wychodząc z założenia, że przedewszystkiem musi myśleć o uratowaniu swego bytu niepodległego, po tem ustępstwie zaś realizacja ententy bałtyckiej nie napotkała żadnych trudności, i dziś „Lietuvos Aidas”, zapomniawszy o niedawnych swych zastrzeżeniach i wątpliwościach, z zadowoleniem stwierdza, że więzy łączące trzy państwa bałtyckie coraz bardziej się zacieśniają, a nawet doszukuje się genezy Ententy bałtyckiej w poczuciu wspólności i solidarności, którymi rzekomo były ożywione wszystkie trzy społeczeństwa nad Bałtykiem od pierwszych dni ich niepodległego życia...

Tak dobrze, zdaje się, nie było, natomiast nie ulega wątpliwości, że obecnie wspólny interes polityczny wpływa na wytwarzanie się atmosfery, sprzyjającej rozwojowi współpracy również na polu społecznym, kulturalnym i ekonomicznym. Przedewszystkiem jednak wytwarza się bliski kontakt w dzie-

dzinie wojskowej, czego objawem znaczącym jest świeża wizyta w Kownie gen. Berkisa, dowódcy armii lotewskiej.

Potrzeba współpracy militarnej, jak pisze „Liet. Aidas”, jest najbardziej palącą, zwłaszcza w ostatnich czasach, kiedy problemy bezpieczeństwa w całej Europie nabrały aktualności. Państwa bałtyckie, wtłoczone między wielkich sąsiadów, znajdują się pod względem bezpieczeństwa w specjalnych warunkach. Niemal ze wszystkich stron są one wystawione na niebezpieczeństwo zewnętrzne. Ich niebezpieczeństwo i sama niepodległość nie są należycie zapewnione, zanim w Europie Wschodniej nie stworzy się dostatecznej gwarancji pokoju. Od wiosny roku ubiegłego widoczne są wysiłki w kierunku stworzenia takich gwarancji. Z inicjatywy rządu sowieckiego wysunięto sprawa zapewnienia niepodległości państw bałtyckich. Jednakże Niemcy i Polska odrzuciły inicjatywę sowiecką. Niezależnie od motywów odmowy nie mogła ona nie wywołać w krajach bałtyckich wrażenia, iż krajom tym zagraża niebezpieczeństwo. Wobec takiej perspektywy nie pozostawało wszystkim trzem państwom bałtyckim, jednakowo zainteresowanym w utrzymaniu i zapewnieniu swej niepodległości, nic innego, jak skupić się i wykazać w ten sposób swą decyzję wspólnej obrony, o ileby uczyniono zzewnątrz jakiś zamach na ich niepodległość. Tak powstała Ententa bałtycka, która się pogłębia i rozwija.

Jednak jasną jest rzeczą, że Ententy bałtyckiej nie wystarcza jeszcze do zapewnienia pokoju w tej części Europy. Z tego względu niezależnie od rokowań w sprawie utworzenia porozumienia państw bałtyckich wysunięto z inicjatywy Francji i Sowietów projekt podpisania szerszego paktu wschodniego o wzajemnej pomocy. Narady w sprawie tego projektu nie zostały jeszcze ukończone. Po rozmowach londyńskich wydaje się, iż pakt wschodni będzie w każdym razie podpisany przy

udziale Francji, Sowietów, Czechosłowacji i państw bałtyckich. Jednak, o ile do tego paktu nie przyłączy się Polska i Niemcy, jak tego można się spodziewać w związku z dotychczasowym ich stanowiskiem, pozostanie w sprawie zapewnienia pokoju w Europie Wschodniej wielka luka, którą państwa bałtyckie pierwsze odczują.

Do powyższych słów półurzędówki litewskiej, dających dostateczne pojęcie o nastrojach sfer politycznych nad Bałtykiem, a pisanych jeszcze przed wizytą Göringa w Polsce, należy dodać, że wizyta ta, rzecz prosta, wydatnie się przyczyniła do spotęgowania podejrzliwości względem polityki polskiej i w konsekwencji do przyspieszenia zabiegów i doprowadzenia do skutku paktu wschodniego.

Pakt wschodni więc stanie się w najbliższej przyszłości kamieniem probierczym dla stosunków wzajemnych pomiędzy Polską a państwami nadbałtyckimi. Definitywna odmowa ze strony Warszawy przystąpienia doń będzie niewątpliwie wytłumaczona nie tylko w Kownie, lecz również w Rydze i Tallinie, jako dowód istnienia tajnego układu polsko-niemieckiego w sprawie wspólnej akcji i podziału ról nad Bałtykiem. Prasa francuska i dziś szeroko o tem trąbi.

---

Trudno się zorientować zoddali w treści głośnego dziś rozporządzenia komendanta Kowna, nakazującego pisanie we wszystkich językach nazw miejscowości w brzmieniu litewskim. Wynikałoby zeń, że w publikacjach, ukazujących się w języku polskim na terenie Republiki Litewskiej (a przynajmniej w Kownie), zamiast *Kowno* należy pisać *Kaunas*. zamiast *Wilno—Vilnius*, zamiast *Wilkomierz—Ukmerge* i t. d. Tak też widocznie zrozumieli rozporządzenie komendanta wydawcy „Dziennika Kowieńskiego”, którzy zawiesili na znak protestu swe pismo pod dotychczasowym tytułem, a po pewnym czasie zaczęli je drukować pod zmienionym tytułem „Dziennik Polski”.

Tymczasem półurzędowe „Liet. Aidas”, omawiając pro-

## Wspomnienie o arcybiskupie J. Matulewiczu.

Mój przyjaciel X., jak każdy przyjaciel, mając o przyjacielu dobre wyobrażenie, sądzi że umiem charakteryzować, określać i oceniać ludzi. Przeto prosił mnie napisać cokolwiek o ś. p. księdzu biskupie wileńskim Matulewiczu. Sadzę, że mój przyjaciel jest w błędzie i przecenia moje zdolności, ale co wiem i co dziś pamięć przywodzi, tem służę.

Moją uwagę zwróciły niektóre cechy charakteru ks. biskupa czy jego usposobienia duchowego, których ledwie odrobinę tu podaję. Mianowicie *niczem niezmqcony* jego spokój, *nieporównana* cierpliwość w doświadczeniach, łagodność i współczucie dla cierpiących. Bez względu na to, że sami byli nieraz winni tych cierpień, dawał im pomoc w trudnościach, podtrzymywał w upadku ducha czy losu i t. d.

Oto są niektóre tylko próbki tych jego zalet,

które przypadkowo dało mi się spostrzec, albo od wiarogodnych ludzi słyszeć.

Kiedy weszli do Wilna bolszewicy, zaraz w mieszkaniu ks. Biskupa, obok jego pokoju, umieścili dwie ateistki, które miały prowadzić odczyty bezbożnictwa. Ks. Biskup, ze zwykłym sobie spokojem, znosił takie sąsiedztwo. Nie usuwał się z mieszkania, nie uciekał i nie chował się. O tym fakcie szeroko mówiono.

Jego spokój uwydatniał się wszędzie. Przy przyjmowaniu interesantów wysłuchiwał ich spokojnie i zastanawiał się nad każdą sprawą aż do jej wyczerpania. Spokój ten udzielał się interesantom. Każdy bez krępowania się mógł wszystko wypowiedzieć, bez pośpiechu o wszystkim się rozmówić. W najdrażliwszych nawet sprawach, ks. Biskup nie wychodził z równowagi. Bo jeżeli przedstawiciel władzy szasta się i usiedzieć nie może, jeżeli sam wiele gada i nie daje interesantowi dojść do słowa, albo zaczęta sprawę przerywa, któż z petentów potrafi zebrać myśli, czy uprzytomnić sobie wszystko, co ma do omówienia?! Uzasadniać tej cechy charakteru

testy polskie przeciwko wzmiankowanemu rozporządzeniu, z naciskiem podkreśla, że zostało ono wywołane naturalnem dążeniem Litwinów do oczyszczenia nomenklatury topograficznej z naleciałości russyfikacyjnych i wyraża zdziwienie, czemu „Dzień Kowieński” używa terminu *Lietuva* zamiast *Litwa*, chociaż nikt od redakcji tego nie wymaga.

Więc jak jest istotnie? Jak należy rozumieć właściwy sens rozporządzenia komendanta Kowna? Zachodzi tu widocznie jakieś nieporozumienie. Albo komendant sformułował swój rozkaz niedość ściśle i wyraźnie, albo interpretacja jego przez czynniki cywilno-polityczne różni się od intencji autora wojskowego. W każdym razie ingerencja władz administracyjno-wojskowych do obcej im zgoła dziedziny lingwistycznej, z natury rzeczy delikatnej, drażliwej i wymagającej wielkiego taktu, wydaje się nam wysoce niewłaściwą.

## Problematyczne ulgi.

Prawdziwym rogiem „obfitości” stało się przy końcu ubiegłego roku ustawodawstwo polskie w stosunku do rolnictwa. Wsypano z tego rogu istny potok rozmaitych rozporządzeń, zarządzeń, uzupełnień, wyjaśnień i t. d., które narazie osiągają ten dobry skutek, że absorbują umysł rolnika i odciągają go od czarnych myśli nad rozpaczliwą w istocie sytuacją w rolnictwie. Funkcje te spełniać mogą pomyślnie wspomniane ustawy i rozporządzenia chociażby z tego powodu, że są prawdziwymi łami-główkami dla mniej więcej obytych z ustawodawstwem tak zwanem oddłużeniowem, a chińskim abecadłem dla niewtajemniczonego pospólstwa rolniczego, którego głównie dotyczą. To też wytworzyła się jakby kasta wtajemniczonych kapłanów, którzy bynajmniej z sobą nie są uzgodnieni, a komentują komentarze jeszcze wyższego rzędu wtajemniczonych, cechą których jest to, że rozumieją często więcej, niż sam ustawodawca.

Rozmaicie mówią o tem ustawodawstwie oddłużeniowem, starszem i najświeższem. Zaprzysiężeni chwalczy obecnego regimé'u, ci przedewszystkiem, których to ustawodawstwo nie dotyczy — trąbią hymny pochwalne na cześć mądrości i dobroćliwości rządu, inni prorządowcy ustosunkowują się do tego

ustawodawstwa w zależności od własnych zainteresowań rozmaitemi ulgami. Znowuż malkontenci, zarówno anti-rządowi, jak i pro-rządowi (bo i tacy istnieją) — ustawodawstwo to naogół krytykują, też naturalnie w miarę osobistych zainteresowań. Tłum rolniczy jeszcze nie orientuje się w istocie tego ustawodawstwa, nie poddaje się naogół sugestji chwalców i zachowuje milczenie.

Abstrahując od rozmaitych opinii, a ustosunkowując się rzeczowo do tego ustawodawstwa, należy przedewszystkiem zaznaczyć, że jest ono zbyt okrzyczane. To znaczy — zadużo się naogół o niem mówi i pisze w stosunku do zasięgu jego przypuszczalnych wpływów na terenie rolniczym. Należy stwierdzić, że masa wiejska, ta, która stanowi tło wsi — jest w tem ustawodawstwie naogół mało zainteresowana. Masa ta należała do najlepszych płatników, czy to w zakresie podatków, czy kredytów, czy też długów prywatnych. Nie mając więc dużych zaległości dłużnych, rachując te zaległości jednostkowo — nie będzie korzystała z ulg. Część tej masy wiejskiej, która wciągnięta została w ten lub inny sposób w wir zadłużenia, o ile zostanie przez kogoś wtajemniczona w kabalistykę ustawodawczą — skorzysta bezwątpienia z szeregu rzeczowych ulg. Lecz zaraz należy zrobić tu zastrzeżenie merytorycznego charakteru — o czem zresztą dalej będzie mowa — że gros interesującego wieś zadłużenia odnosi się do okresu najwyższych cen i procentów, więc efektywność tych ulg, w stosunku do spadku wartości obiektów zadłużonych i wzrostu wartości pieniądza — jest bardzo problematyczna.

Najbardziej charakterystyczną cechą i najbardziej wyraźną treścią tego oddłużeniowego ustawodawstwa — jest podział dłużników na rozmaicie uprzywilejowane grupy. Ma to cechy nie tyle społeczne, co polityczne (a może wprost fiskalne?). Dłużnicy rolni zostali zaklasyfikowani do kilku kategorii, podług liter abecadła — A, B i C. Grupa A została najwięcej uprzywilejowaną (do 100 ha) — grupa C ponad 1000 ha) najbardziej upośledzona. Najznakomiciej uprzywilejowani zostali naogół osadnicy wojskowi i cywilni — najbardziej zaś pogńebleni obszarnicy większego kalibru (C). Według opinii tej klasy, ustawodawstwo oddłużeniowe zagraża wprost

ks. Biskupa niema potrzeby, bo wszyscy byliśmy tego świadkami.

Nieporównana jego cierpliwość również okazywała się wszędzie, kiedy szowiniści okrzykli go litwomianem. Wtedy każdy, jak się mówi, lał mu na głowę i coraz bardziej okrzykiwał go niesprawiedliwym i stronnickým w rządzeniu diecezją. Okrzyczano go przed społeczeństwem i przed rządem. Słowem stworzono mu opinię niemożliwego na jego stanowisku. Wprost litość brała widzieć i słyszeć, jak w swej nienawiści nie oszczędzano ks. Biskupa, ani w kościele, ani przy ołtarzu. Najniedorzeczniej i najniesprawiedliwiej wszędzie nim szargali, przy-czepiając mu ciągle litwomianę. Jak wsiadli na tego konika, to na nim ciągle jeździli, czyniąc ks. Biskupowi niestworzone zarzuty, jakie tylko komuś ślina na język przyniosła. A tłum, wiadomo, jak tłum, prosty, czy inteligentny, w uprzedzeniu bezkrytycznie wszystko przyjmował, powiększał, roznosił i rozgłaszał. Stąd wytworzyły się do ks. Biskupa fatalne uprzedzenie i niechęć.

Oto jedna próbka tego rodzaju spodlenia lu-

dzi, a dowód cierpliwości ks. Biskupa w przeciwnościach i cierpieniach.

Byłem przypadkowo świadkiem, jak w sali ks. Biskupa, jacyś interesanci, ludzie świeccy, z nieopisaną zuchwałością występowali w sprawie swego proboszcza. Kiedy nie pomogły łagodne przedstawienia i słuszne uwagi ks. Biskupa, zaczęli wrzeszczeć tak, iż ks. Biskup zmuszony był wyjść z sali do poczekalni. Tam niespodzianie spotkał mnie i machinalnie wymówił: „Zmęczyli mię swojemi zarzutami na własnego proboszcza i zuchwałem domaganiem się, żeby im dać proboszcza jakiego sami chcą — bezczelni ludzie”.

A już bezbrzeżną cierpliwość wykazał ks. Biskup, kiedy go najrozmaiciej oczerniano nie tylko słowem, ale i w pismach, kiedy go zewsząd otoczyli nieprzyjaciele, nie tylko ludzie świeccy, ale i podwładni duchowni, ziejąc doń nienawiścią. Próbowałem rozmawiać z niektórymi z wyższego duchowieństwa, wszędzie wyczuwałem takie wrogie nastawienie.

Pamiętam w jakąś narodową uroczystość ks. Biskup celebrował w katedrze, a jeżeli mię pamięć

katastrofą w stosunku do większych obszarów. Dłużników tej klasy bierze się wprost za gardło i mówi się im: płacić albo oddać ziemię na parcelację! Stąd w tej kategorii panuje wielka konsternacja i przygnębienie. Mniejsi obszarnicy (B) też nie zostali zbyt obdarowani. Natomiast naprawdę obficie ulgami zostali obdarzeni — osadnicy. Ci mogą to ustawodawstwo błogosławić, gdyż kapitałne ich zadłużenie do połowy zostało zniesione. Jeżeli chodzi o ziemian, to stosunek do nich sfer rządzących został w tem ustawodawstwie nieważnicznym podkreślony. Okazało się, że jest to warstwa, o ratowanie której najmniej sferom rządzącym chodzi, a raczej dąży się przy sposobności do jej zlikwidowania.

Bardziej jednak interesujące jest zagadnienie, jaką wogóle drogę wskazuje to oddłużeniowe przedsięwzięcie w szerszej polityce gospodarczej rządu? Jakkolwiek są głosy, że ustawodawstwo oddłużeniowe było tworzone pod auspicjami bieżącej polityki — nawet wymienia się przedwyborczy jego charakter, a niektórzy w niem widzą *signum* pewnego zradykalizowania się rządu i zwrotu frontem do mas wiejskich — jednakże, nie ulega wątpliwości, że in merito, wynika ono zinnego źródła. Jest ono środkiem, a raczej pół czy nawet ćwierćśrodkiem na groźne dla rolnictwa objawy deflacji pieniądza. Powiedziećby można, że jest to chęć wyrównywania, w stosunku do płatników wiejskich, wzrostu wartości pieniądza. Wszak wartość pieniądza, w stosunku do cen najbardziej popularnych produktów rolnych (zboże), wzrosła w sposób niesamowity. Ceny wielu produktów rolnych, najbardziej sprzedażnych, spadły w stosunku do 1928/29 r. — czterokrotnie. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach powstał pewien zator w spłacie najrozmaitszych świadczeń i zadłużeń, zwłaszcza do największego wierzyciela, skarbu państwa, ze względu na to, że wszelkie rządowe świadczenia (podatki) zostały nienaruszone w swej wysokości. W stosunku więc do wartości artykułów rolniczych, płacą obecnie rolnicy 3—4-rotnie więcej podatków, niż płacili przed kilku laty.

Wydaje się, że nie potrzeba doszukiwać się takich czy innych „tendencji” czy „intencji” rządu, nawet gospodarczych, gdyż ustawodawstwo oddłużeniowe tylko legalizuje istniejący stan rzeczy, a jest

nim fakt, że rolnicy nie mogą płacić długów, przy kilkakrotnym wzroście wartości dla nich pieniądza, a więc i każdego zadłużenia. Jeżeli nawet ogarnąć całość tego ustawodawstwa i wniknąć w sposób jego tworzenia się — to stwierdzić wypada, że nosi ono charakter pewnej tymczasowości, poprostu chęci odsunięcia głębszych rozstrzygnięć na dalszy termin.

Ustawodawstwo oddłużeniowe, nawet najbardziej przychylnie względem interesów płatnika rolniczego skonstruowane, jednak nie sprzęgnięte z szeregiem posunięć na przyszłość, a puszczane jakby samopas w las rozmaitych, narastających komplikacji rolniczo-ekonomicznych — staje się do pewnego stopnia paljatywem, łataniem dziur na łokciu kosztem skracanej marynarki. Bo co mogą przynieść ulgi w stosunku do zaległości skarbowych, przy sztywnych podatkach, a wciąż pogarszającej się w rolnictwie konjunkturze?

Polityka finansowa w państwie polskim trzyma się oburącz nienaruszalności nominalnej wartości pieniądza. Ma prawdopodobnie po temu swoje poważne racje. Jednak polityka deflacji musi mieć swoją logikę i swoje konsekwencje. Deflacja permanentnie pogłębiająca się, a nie ciągnąca za sobą uelastycznienia najważniejszej dla prymitywnego rolnika kategorii wydatków — podatków i cen monopolowych — dąży w kierunku coraz bardziej pogłębiającego się grzęzawiska, nie tylko gospodarczego, ale i społecznego.

Decydują jednak w Polsce ludzie „pierwszego”. Sztywnej normie „pierwszego” deflacja pieniądza sprzyja. Za droższy pieniądz można więcej kupić. Producent wiejski, który już dawno wszystko wytrząsł z pończochy — a opłacać musi, rachując na sprzedawane produkty, trzy czy czterokrotnie zwiększone podatki — dostaje za to ustawodawstwo oddłużeniowe. Lecz ma naukę, która w las nie pójdzie, że wygrał ten, kto nie płacił — przegrał, kto płacił.

*Rusticus.*

nie zawodzi, miał kazanie ks. arcybiskup Teodorowicz. Może się nie podobało szowinistom, że ks. Biskup celebrował, ale czy podobałoby się i wtedy, gdyby się był uchylił od celebry? W czasie kiedy biskup siedział na tronie, jakiś inteligent biegał zaferowany od kraty do kraty, obok wielbiter ołtarza, z zachwalością zaglądając do prezbiterjum, i głośno wołając: *To ten litwomian celebry!?! To on!!! To niby Biskup!!!... Poczem zaczął obelżywe słowa skierowywać do ks. Biskupa, który siedząc na tronie, musiał to słyszeć, bo w tym celu było to wszystko wypowiedziane. Takie sceny musiały się powtarzać niejednokrotnie.*

Nie uszanowało go i duchowieństwo, które również patrzyło nań niesprawiedliwie, bezkrytycznie przez te same szowinistyczne okulary, i miało pogląd narzucony sobie może bezwiednie przez opinię publiczną\*). Wogóle ks. Biskup padł ofiarą

\*) Myli się tu autor. Nie opinia publiczna narzuciła pogląd swój duchowieństwu, lecz wręcz odwrotnie. *Przyp. Red.*

zbałamuczonej opinii publicznej. Pochwyci się jakiś mało znaczący ujemny fakt, zrodzi się jakieś bezpodstawne podejrzenie, trafi się jakiś mały błąd, bo niema człowieka *nieomylnego*, błąd może umyślnie podsunięty — zaraz krzyk, alarm, hałas, najróżnorodniejsze oszczerstwa. Mógł czasem ks. Biskup omylić się, bo tylko ten nie myli się, kto nic nie robi. Może nawet jako Litwin, mógł, przypuszczam, w sprawach narodowościowych wypowiedzieć jakieś nieostrożne czy niemile szowinistom Polakom słówko — z tego zrobiono zdradę stanu. Takie i tym podobne okoliczności rozdmuchiowano do niebywających rozmiarów. Zmienione, skarykaturowane do niepoznania, rozjątrzyły one społeczeństwo, i nawet najlepsze zdawałoby się jego jednostki wśród duchowieństwa, tak że nawet ś. p. ks. arcybiskup K. Hryniewicki, który w swoim czasie zastąpił, jako wielki działacz i meczennik, a który dziś niewiadomo jakby się uporał z obecnymi trudnościami, raz na sali ks. Biskupa, wychwalając jego pobożność i inne cnoty, zaczął wobec kapituły boleśnie krytykować jego działalność, tak że dzisiejszy ks. biskup Michał-

## Powracająca fala.

Od czasu do czasu w miejscowej prasie polskiej rozlega się alarm z powodu niewspółmiernie nikłych (w stosunku dołożonych wysiłków) wyników polskiej pracy kulturalno-oświatowej wśród ludności białoruskiej. Jak stwierdził w swoim czasie „Kur. Wil.”, wśród wychowanków polskich szkół powszechnych już po kilku latach po opuszczeniu szkoły spotykane jest zjawisko powtórnego analfabetyzmu... Nauczyciele, zatrudnieni w szkolnictwie powszechnym, zapracowują się do ostatniego stopnia, spełniając poleconą im rolę „szermierzy polskości”. Każdy polski funkcjonariusz państwowy, każdy samorządowiec, każdy inteligent na wsi uważa za swój pierwszy obowiązek pracę dla spolszczenia kraju. A rezultatów nie widać... Wymagania od uczącej się dziatwy wiejskiej, by w domu starała się mówić po polsku, do niczego nie prowadzi: przyszczepiana polskość ginie bez śladu wśród żywiołu białoruskiego, a z nią razem w niepamięć przechodzi i ten cały siew kulturalny, który dokonywany jest z takim mozolem przez nauczycielstwo w izbach szkolnych.

Świadomość, iż w polskim „Kulturkampfie” na ziemiach białoruskich źle się dzieje, zmusza kierowników tej akcji do szukania sposobów skuteczniejszej pracy nad spolszczeniem ludu białoruskiego. Głowi się nad tem prasa wszystkich odcieni i kierunków. Odbywają się „sejmiki” polskich „kulturträgerów”, powstają projekty „izb kultury” (oczywiście, o charakterze narodowo-polskim) i t. p. Lecz nigdy i nigdzie w analizie przyczyn słabej skuteczności wysiłków polonizacyjnych nie słyszeliśmy stwierdzenia istotnej przyczyny niepowodzenia: *odporność narodowej ludu miejscowego*. Zwracała na to niejednokrotnie uwagę prasa białoruska—nawet najlojalniej w stosunku do państwa usposobiona. Lecz głosy te nie znajdowały żadnego oddźwięku w społeczeństwie polskim, które jest zasadniczo głuche na to, co mówią Białorusini. To też nic dziwnego, iż dla kierowników polskiego „Kulturkampfu” zadanie sprowadza się do tego, by przepracowani do ostateczności nauczyciele szkół powszechnych na wsi biało-

ruskiej oddawali jeszcze więcej sił swoich na sztywną pracę wynarodowiania dziatwy białoruskiej.

Kto o stanie ruchu białoruskiego w Polsce sądziłby pragnął z tego, co się dzieje obecnie wśród inteligencji białoruskiej, rozbitej i skłóconej przez dzikie partyjnictwo, — musiałby niechybnie odnieść wrażenie ujemne. Bo jakże: czy można wierzyć w rozwój narodowy ludu, który jest pozbawiony kierownictwa intelektu narodowego — własnej inteligencji? Opinia polska konstatuje fakt oderwania inteligencji białoruskiej od mas ludowych i na tej zasadzie uważa kwestję za wyczerpaną. Inaczej natomiast wygląda sprawa, gdy będziemy patrzeć na nią nie z góry, a *cd dołu*: gdy zajrzemy do wsi białoruskiej. Obraz, który tu ujrzymy, rozwiąć musi wszystkie iluzje wyznawców i zwolenników programu b. premjera Skulskiego.

W ubiegłym roku znany na wileńskim gruncie „Klub Włóczęgów” zrobił próbę zajrzenia do wsi białoruskiej właśnie od dołu. Na jednym z posiedzeń wygłoszony został przez zaproszonego ad hoc działacza białoruskiego p. W. Hryszkiewicza referat o tem, czem i jak żyje duchowo włościanstwo białoruskie. Prelegent oparł się wyłącznie na tych danych, które nie mogą być zakwestjonowane: na aktach i dokumentach, stwierdzających *aktywność narodową* białoruskiej wioski — pomimo rozdziału, jaki zaistniał pomiędzy nią a inteligencją miejską, dzięki pewnym wysiłkom czynników obcych—z jednej strony, niedojrzałości politycznej społeczeństwa białoruskiego—z drugiej. I oto co powiedziały przytoczone fakty.

Wieś białoruska żyje już własnym życiem narodowym, aczkolwiek przeważnie nie posiada kierownictwa inteligentnego. Ujawnia się to w dążeniu do pracy samokształceniowej, do szkoły w języku ojczystym, do organizacji swych czynnych sił na gruncie czysto kulturalnym i gospodarczym, do urządzania białoruskich odczytów, przedstawień teatralnych, koncertów etc. Włościanin białoruski, aczkolwiek zgębiony ostrym kryzysem gospodarczym i niewspółmiernymi ciężarami podatkowymi oraz świadczeniami rzeczowymi i pracą, sam z własnej inicjatywy posuwa swoją ofiarność dla sprawy narodowej do tego stopnia, iż chętnie udziela place po-

kiewicz zmuszony był ująć się za swego ordynariusza \*). Ostatecznie ta sama kapituła nie oszczędzała go i zdecydowała jego usunięcie \*\*). Widocznie tak dalece była się zaangażowała w tej sprawie, że zasłużyła na naganę swego czynu przez Najwyższego Zwierzchnika Kościoła, który miał się wyrazić: *Decet vobis!*

Wszystkie te zarzuty nietylko nie zasługują na wiarę, ale nawet nie może być przypuszczenia, żeby tak wielkiej wiary, pobożności, wielkich cnót i głębszego wyrobienia duchowego biskup mógł się powodować litwomanią, stronniczością czy niesprawiedliwością.

\*) Miało to miejsce *nie* w sali b. pałacu biskupiego, lecz w mieszkaniu śp. ks. prałata K. Bajki, podczas wydanego tu przyjęcia. *Przyp. Red.*

\*\*\*) Ściśle nie odpowiada to rzeczywistości, już chociażby dlatego, że stanowisko kapituły względem bpa Matulewicza wcale *nie* było jednolite. Tylko niektórzy jej członkowie, czynnie angażowali się w zwalczającej ordynariusza akcji, bądź podpisując memorjały do Rzymu, bądź jeżdżąc ze skargami do nuncjatury. *Przyp. Red.*

Wiem o faktach, które wykazywały w ks. Biskupie wielkie współczucie dla kapłanów dziś sponiewieranych i wszechstronnie udręczonych. Nieraz zachowywał się on względem nich, jak Chrystus Pan względem Magdaleny. Kiedy trafiały się jakieś większe upadki czy niepowodzenia komukolwiek z nich, kiedy ci czekali, że każe ich ukamienować, to ks. Biskup, zamiast szukać na nich kary, zamiast bolesnych wyrzutów, zamiast im wyrzucać, czy ich gromić, zaczynał z takimi winowajcami naradę, jak zło naprawić. Znam kilka takich faktów, które się zdarzyły ku wielkiemu zgorszeniu i zdziwieniu kapłanów faryzeuszów, co powiadają, że pobłażliwością podtrzymuje zgorszenie. A jednak Chrystus Pan tak postępował z grzesznikami, i na tej tylko podstawie ustanowił sakrament pokuty.

Ks. Biskup rozumiał zubożenie kapłanów i współczuł im. W czasach powojennych, jak i teraz, kiedy nietylko ofiary, ale i msze, czyli obligacje mszalne ustały, nie nakładał ani na kapłanów, ani na lud ponad siły ciężarów, żeby prowadzić inwestycje albo robić jakieś drogie eksperymenty. Przeciwnie

budowę szkół białoruskich, zwozi materiały budowlane, daje swoją pracę—bezinteresownie. Obijanie progów odnośnych urzędów przez włóścian, domagających się szkoły z macierzystym językiem wykładowym, jest zjawiskiem coraz częstszym. Chłop białoruski nie daje za wygraną, dopóki nie wykorzysta wszystkich prawnie mu pozostawionych możliwości. Gdy władze lokalne odmawiają zezwolenia na przedstawienie białoruskie, koncert, odczyt i t. p., idzie on ze skargą do starosty, do województwa, do ministerstwa,—choć w rzadkich tylko wypadkach cel swój osiąga. Szczególniej ujawnia się dążenie ludu białoruskiego do organizowania wszelkiego rodzaju stowarzyszeń kulturalno-oświatowych, bez względu na ich zabarwienie polityczne: czy to będzie „T. B. Sz.“, czy „Instytut“, czy „T. B. A.“. Czynione są próby tworzenia spółdzielni, lecz i tu na przeszkodzie stają częstokroć władze lokalne, odmawiające zezwolenia na odbycie zebrania organizacyjnego...

Oto—zgruba—obraz życia wsi białoruskiej i jej dążeń, dokumentalnie stwierdzony przez prelegenta, który zasypał wprost słuchaczy swych niezliczonymi faktami—z podaniem miejsca i daty, z powołaniem się na podania, rekursy i skargi do władz wyższych, odpowiedzi takowych, dalsze kroki petentów. Wieś żyje, ma swoje dążenia o charakterze kulturalno-narodowym i o zaspokojenie swych potrzeb samodzielnie zabiega.

W życiu ludu białoruskiego zaznaczyć się daje pewien rys charakterystyczny, stwierdzany niejednokrotnie już przez różnorodne organy prasy białoruskiej. Lud ten, na pierwszy rzut oka cichy, uległy, pokorny tylko nieznanym go bliżej wydawać się takim może. Mimo braku organizacji stałej, mimo rozproszenia, posiada on moc *oporu biernego*, o który rozbijają się usiłowania wrogich mu czynników, a który w pewnych chwilach staje się *czynnym*, przetwarza się w akcję masową. Przed laty, gdy się zbierał Sejm Wileński, wieś białoruska bojkotowała wybory, i nikt z ugodowej grupy Aleksieuka mandatu nie otrzymał. To było stanowisko biernie, a więc dość łatwe,—powiedzą nasi oponenti. Słusznie. Ale w 1922 roku ta sama masa białoruska z biernie stała się czynną i przeprowadziła 12 posłów do Sejmu i 3 do Senatu! A po trzech dalszych latach bierności, gdy uchwalony został przez Sejm „*lex Thugutt-Grabski*“, wprowa-

dający stały plebiscyt narodowościowy w życiu szkolnym, notujemy nową akcję czynną wsi białoruskiej: masowe składanie deklaracji na rzecz powszechnej szkoły białoruskiej. W latach 1925—28 składano rok-rocznie około 20.000 deklaracji nauczania pobiałorusku. — A dalej — „Hramada“ z jej 100.000 członków... Zjawisko „stawania do apelu“ wielotysięcznych mas chłopskich w chwilach, posiadających dla Białorusinów znaczenie historyczne, możnaby nazwać „*powracającą falą*“. Lecz jeśli tak działo się przed laty, kiedy wieś białoruska była mniej świadoma i oglądała się za dyrektywami swych ówczesnych przywódców, nie ujawniając aktywności samodzielnie i samorzutnie,—to dzisiaj, gdy i bez przywódców życie wewnętrzne wsi stale się rozwija i pogłębia, ta „*powracająca fala*“ musi przybierać na sile i w chwili odpowiedniej znowu ujawnić się może. W jakim kierunku,—to już inna kwestja. I odpowiedź na to może dać tylko przyszłość.

Zależać jednak ona będzie od tego, czy nowe pokolenie inteligencji białoruskiej zdoła uchwycić w swe ręce „*rząd dusz*“ ludu białoruskiego, czy też rolę kierowniczą odegrać będą czynniki Białorusinom obce.

H. B.

## Obudzona nadzieja.

W poszukiwaniu szczątków Witolda.

W związku z odkryciem w Bazylice Wileńskiej zamurowanej krypty z królewskimi szczątkami nasunęło się pytanie, gdzie jest grób W. ks. Witolda i czy jest jaka nadzieja jego odnalezienia? Konserwator dr. Lorentz w obszernym artykule p.t.: „*Losy szczątków W. Ks. Witolda*“ („*Kurjer Wil.*“ 16. VII 1933 r.) wyłożywszy dokładnie przebieg przedsięwziętych poszukiwań i zanalizowawszy cały materiał archiwalny, doszedł do wniosku, że niema żadnych danych, na podstawie których możnaby snuć przypuszczenia o miejscu wiecznego spoczynku prochów Wielkiego Księcia i wyraził przekonanie, że kości jego nie możnaby zidentyfikować wśród wielu

zwolnił większość proboszczów od obowiązku odprawiania mszy za parafjan, nie rezerwując tych obowiązków ani dla siebie, ani dla kurji.

Kiedy zaczęto szeroko mówić i pisać o usunięciu ks. Biskupa, poszedłem do redaktora tego pisma, które najbardziej występowało przeciw niemu i które mogło wiele zadecydować o jego losie\*). Znaczył, że usunięcie ks. Biskupa już jest zdecydowane (sic) i ja nie mam słuszności w jego obronie.

\*) Mowa tu, oczywiście, o *Dzienniku Wileńskim* i jego redaktorze p. Obście. Autor jednak przeczenia wpływ tego brukowca na losy bpa Matulewicza. Mając za sobą, jak powszechnie wiadomo, Ojca św. Piusa XI, mógłby Biskup z diecezji wileńskiej nie rezygnować i zostać po roku *eo ipso* pierwszym arcybiskupem wileńskim. J steśmy przekonani, że okolicznością, jaka ostatecznie wpłynęła na powzięcie przezeń decyzji rezygnacji, był smutnej pamięci konkordat St. Grabskiego ze Stolicą Apostolską, jaki nieboszczyk biskup uważał i nazywał *fatalnym* i z którego pewnymi artykułami wręcz się nie godził. Podpisanie *takiego* konkordatu przez strony układające się było dlań prawdziwym ciosem. *Przyp. Red.*

Podawałem kilka bardzo przekonujących dowodów i poważnych przyczyn za tem, żeby popierano sprawę pozostawienia ks. Biskupa na miejscu, żeby za pomocą prasy naprawiono jego opinję i niesprawiedliwe zarzuty i t. d. Przedstawiałem i te okoliczności, że dziś robią zarzut i naganę na ks. Biskupa, że jest Litwinem, a kiedy go usuną, kiedy dopną swego, wtedy będą robili naganę na każdego innego, pod jakimś innym pozorem. Dowodziłem nieprawdziwości, niesprawiedliwości i niegodziwości wszystkich zarzutów ks. Biskupowi\*\*), że to tylko źli katolicy, skrajni szowiniści, bezbożni ludzie powodują te wszystkie zarzuty, jąttrzyście porządku publicznego miotają oszczerstwa i obelgi na ks. Biskupa, że każdy inny im nie dogodzi, że owszem jego usunięcie ośmieli innych i zwiększy ich zachwalstwo. — Oczywiście p. redaktor przyjął moje przedstawienie, wstawiennictwo i obronę bardzo źie, rozmawiał ze mną niechętnie, a wkońcu krótko za-

\*\*) Źle wybrał się autor, nie znający widać zgoła naszej endecji. *Przyp. Red.*

tysiący bezimiennych kości, spoczywających w gruzie pod posadzką.

Po tak miarodajnym wyjaśnieniu zdawało się, że kwestia jest wyczerpana i że należy pożegnać się z nadzieją odnalezienia grobu Witolda.

Aliści w № 7—8 miesięcznika „Pax” z r. u. ks. Walerjan Meysztowicz wystąpił z sensacyjnym artykułem, utrzymując, że grobu Witolda należy szukać pod dawną kaplicą Kieżgajłowską, czyli św. Michała, obecnie zaś kaplicą św. Antoniego.

Rewelacyjne twierdzenie ks. Meysztowicza wywołało zaprzeczenie ze strony Komitetu Ratowania Bazyliki Wileńskiej, który nazwał wywody ks. Meysztowicza bałamutnymi i z naciskiem podkreślił, że jakkolwiek dane historyczne wskazywały, że szczątków W. Ks. Witolda, rozrzuconych przez najeźdźców moskiewskich w r. 1655 zidentyfikować się nie uda, ze specjalną starannością przeprowadzono badania w tych podziemiach, które znajdują się w bliskości ostatniego znanego nam z przekazów historycznych grobowca Wielkiego Księcia oraz w pobliżu fundowanych przez niego ołtarzy.

Wbrew jednakże kategorijskiej a ujemnej opinii Komitetu Ratowania Bazyliki ks. dr. P. Śledziwski, znany u nas historyk sztuki, potraktował hipotezę ks. Meysztowicza bardziej przychylnie, a zainteresowawszy się zagadnieniem grobu Witolda, przestudjował je gruntownie i szczegółowo wyłożył swe dociekania na łamach tegoż „Pax'u” w Nr. 2 b. r.

Stwierdza więc przede wszystkim ks. Śledziwski, że „posiadamy najpewniejsze dowody, iż kości Witolda nie leżały ciągle w jednym grobie. Zgodnie z jego własną wolą zostały one najpierw umieszczone w katedrze, którą sam ufundował, przy ołtarzu św. Michała, gdzie spoczywała już jego żona Anna, księżniczka smoleńska. Następnie złożono ossa Witolda w podziemiach dawnej Królewskiej kaplicy św. Kazimierza. Później przeniesiono je do sarkofagu przy nowym ołtarzu św. Michała w głębi północnej, bocznej nawy przy ścianie wschodniej. Wreszcie zostały najprawdopodobniej *sekretnie ukryte* w podziemiach katedry, w miejscu zatajonym przed okiem historii...”

Pomijamy drobiazgowo badania ks. Śledziwskiego nad dziejami grobu Witoldowego do czasu inwazji moskiewskiej w latach 1556—1661 i poprze-

stajemy na zanotowaniu, iż, zdaniem autora, prochy Witolda zostały złożone w podziemiach kaplicy królewskiej po jej restauracji (1535—1535) razem ze zwłokami św. Kazimierza i króla Aleksandra. Tamże z biegiem czasu zostały złożone doczesne szczątki królowej Elżbiety i królowej Barbary.

Kiedy nastąpił ponury okres moskiewskiej okupacji, biskup i kapituła opuścili Wilno, wywożąc ze sobą relikwie św. Kazimierza, akta diecezjalne i kapitulne oraz kosztowności. Pierwszą sesję kapituła odbyła w swoim majątku w Braszewiczach 3 lutego 1656 r. Niebawem dowiedziano się, że w Królewcu zmarł Biskup Tyszkiewicz. 15 maja przyjęto do wiadomości nominację na biskupstwo wileńskie, udzieloną przez króla prałatowi wileńskiemu Zawiszy Dowgiałle. Lecz i ten umarł na tułaczce. W maju 1658 r. prałat Białozor przyjeżdża do gremjum kapitulnego w Brześciu jako nominat biskup smoleński. Zaraz zapytano biskupa Białozora: gdzie podział wywiezione z Wilna klejnoty? Odpowiedział, że część zastawił na potrzeby obrony państwa, a część skrył. O miejscu zaś schowania mógłby powiedzieć tylko wybranym dwóm członkom, a nie całemu zgromadzeniu, by to miejsce na jaw nie wyszło, na co kapituła się zgodziła.

Ks. Śledziwski szerzej się rozwodzi nad kapitulnym „przywilejem sekretu”, w celu oświetlenia psychologicznego podłoża tajemniczości owych czasów i ludzi, które daje podstawę przypuszczeniu, że mógł istnieć sekret, niemal zaprzysiężone milczenie (stąd cisza zupełna w aktach kapitulnych i w ustnej tradycji) w sprawie *miejsca ukrycia zwłok królewskich z insygnjami, a ich wzorem — być może — i zwłok Witolda.*

Trudno dziś sprawdzić, kto był sprawcą tajnego ukrycia i zamaskowania tych grobów. Być może uczynił to sam biskup Tyszkiewicz przy pomocy zaprzysiężonych mularzy, a potem w Królewcu zabrał tajemnicę do grobu. Mógł to uczynić kan. Kluczewski, który pozostawał w Wilnie w charakterze zastępcy biskupa podczas morowej zarazy przed samym najazdem moskiewskim i zmarł również na tułaczce. Ostatecznie mógł to uczynić kustosz katedralny prałat Białozor, który zmarł poza Wilnem w 1665 r.

Tak czy owak, uderza badającego sprawę kości Witolda spokojne zachowanie się kapituły wobec

Ponieważ nie łączył mnie z ks. Biskupem bliższy stosunek, więc nie mogłem z nim o jego sprawach mówić. Czuł on to sam i wiedział, co się koło jego osoby działo. Musiało to mu być nadzwyczaj bolesnym. To też nie dziw, że kiedy w kościele św. Jerzego w Wilnie, po rekolekcjach kapłańskich, ostatni raz przemawiał, był jakby zażenowany, jakby się czegoś krepował. Było to zupełnie zrozumiałe, i każdy z nas księży doskonale to czuje, zwłaszcza kto doznał w parafjach intryg rozmaitych, zarzutów lub oczernień. W takich chwilach człowiek staje się bezradnym i bezsilnym, nie rad sam ze siebie, czuje że lepiej by mu było, żeby już nie żył. Ma przed sobą źle uprzedzony, złowrogi tłum, tłum który będąc podwładnym, odniósł nad swym zwierzchnikiem zwycięstwo. Zwierzchnik, w poczuciu swej niewinności, stoi obwiniony, bezsilny przed niesprawiedliwym tłumem — nie może mówić, nie ma sił. Tak Pan Jezus, stojąc przed tłumem bezbożnym, nie chciał odpowiadać, powie-

dział tylko: *Jeżeli wam powiem, nie uwierzycie i nie wypuścicie.* Tak samo przed Piłatem milczał.

Tylko mu dwie łzy spłynęły i poszedł do lepszego żywota, gdzie nie będzie ani krzyku, ani boleści, ani płaczu.

Najpodlejsze z najpodlejszych stworzeń to zły człowiek.

Może ktoś mnie zarzuci, że się ujmuję za ks. Biskupem niesłusznie, albo będąc interesowanym, że mi on wyświadczył jakieś dobrodziejstwo. Na to oświadczam, że od żadnego biskupa, podczas jego urzędowania, nie otrzymałem żadnej szczególniejszej łaski, żadnego osobliwszego dobrodziejstwa, ale do każdego z nich w nieszczęściu starałem się zbliżyć, poznać, pocieszyć, bo wtedy już nie mogło być żadnego podejrzenia interesowności z mojej strony. Chociaż co do ś. p. ks. Biskupa Matulewicza, nie mogłem mu i tej grzeczności okazać, gdyż nawet nie wiedziałem, jak niespodzianie opuścił Wilno.

faktu: czy jeszcze są i gdzie są groby królewskie oraz grób Witolda.

Poczynając od końca XVII w. urywa się jak nożem uciał, tradycja rzeczywistego grobowca Witolda. Los jego jest tak ciemny i tajemniczy, jak był tajemniczy los grobów królewskich do września 1931 r. Sugestia, powzięta z historycznego faktu, jakim były kalwaryjskie lata wileńskie w drugiej połowie XVII w. oraz stwierdzenie braku królewskiej krypty pod dzisiejszą kaplicą św. Kazimierza, była tak wielka, że jeszcze w przeddzień odnalezienia grobów królewskich głoszone, że zwłoki królewskie zostały zaprzepaszczony tak samo bezpowrotnie, jak i zwłoki Witolda. Okazało się jednak, że szczątki króla Aleksandra oraz dawnych królowych z insygniami znalazły się w podziemiach w świetnie i fachowo zamaskowanej krypcie. Maską tą zwiódła nawet Gucewicz, który znając sąsiednią kryptę, wiodącą do zatajonej krypty królewskiej, tej ostatniej nie wykrył i do niej nie dotarł, gdyż zwłoki królewskie świadomie nie w miejscu wskazywanym przez „dane historyczne” zostały ukryte i przekazane potomności na los szczęścia odkrywcy. Nawiązując więc do nadziei Kirkora z przed pięćdziesięciu lat, że zwłoki królewskie „mogą się znaleźć”, ks. Śledziwski analogicznie wyraża nadzieję, że i zwłoki Witolda mogą być odnalezione.

Na ten szczegół właśnie, iż prochów Witolda należy szukać wszędzie tam, gdzie ich dotąd znaleźć nie spodziewano się, kładzie specjalny nacisk ks. Śledziwski. Zapewne są one ukryte w takim zakamarku katedry, którego żadne oko ludzkie, a przede wszystkim ostatniego budowniczego katedry Gucewicza dotąd jeszcze nie widziało, *niema bowiem żadnych poważnych danych historycznych, że prochy Witolda zostały rozrzucone.*

Taką jest konkluzja ks. Śledziwskiego, na którą Komitet Ratowania Bazyliki nie zareagował już żadnym komunikatem. Milczy również dotąd konserwator dr. Lorentz. Dla laika zaś argumenty ks. Śledziwskiego brzmią niezmiernie przekonująco. Nie tracmy więc nadziei.

Karol Waga.

BOSZY

## Wileńskie minjatury palestranckie.

XIX

*Słuszny, postawny, o ruchach nerwowych,  
O szybkiej mowie, o myślach wichrowych  
Utrafił do gustu prawniczej gromadzie,  
Toteż rej wiedzie w adwokackiej radzie,*

*Swoją energję, której dużo nosi,  
Poświęca dla dobra całej korporacji.  
Adwokat, aplikant o pomoc go prosi,  
On jej udziela budząc admirację.*

*Przed laty, za czasów swego senatorstwa,  
Ustawę wprowadził własnego autorstwa:  
— Gdyś grunt swój zbyć przyrzekł i oddał go—kwita,  
Znaczą, żeś go sprzedał — parada finita.*

XX

*— „Kiedyś, jak jeszcze byłem na zesłaniu...”  
Tu płyną z ust prezesa młodzieńcze wspomnienia  
Z czasów, gdy jako student, w tajdze, na wygnaniu  
Roit górne marzenia, może zamierzenia..*

*— „Kiedym Czerwonym Krzyżem w Mińsku za-  
wiadywał...”*

*Znowu wspominki, jak to Polaków z matni wy-  
plątywał.*

*Lubi też często wspomnieć—nie bez satysfakcji:*

*— „Gdy jeszcze prezesem byłem Apelacji...”*

*Dziś, zgromadziwszy wielkie doświadczenie,  
Do cechu obrońców zapisał się trwale,  
Kocha swój zawód, każde przemówienie  
Wygłasza ku swojej i palestry chwale.*

XXI

*Choć starszy, umie być młodym przy zabawie,  
Zaśpiewa przy kieliszku niejedną piosenkę,  
Rozchmurzy oblicze i przy czarnej kawie  
Wspomina ubiegłą młodości wiosenkę.*

*Mrukliwy dla obcych, dla bliskich wylany,  
Posiada pan senator tutejszości znamię,  
Sprawom społecznym jest wiernie oddany,  
Sztandar demokracji dźwierży jego ramię.*

*Nie lubi wsteczników, nie wiele szacuje  
Lalusiów, co to trzymają się mody,  
Lecz po nad wszystko wielbi i miłuje  
Ósmy cud świata... Druskienickie wody.*

XXII

*Jest Rosjaninem z krwi, z ducha, z imienia,  
Swej rosyjskości na polskość nie zmienia,  
W języku ojczystym gaworzy i myśli  
O kraju północy, skąd przodkowie wyszli.*

*Lojalny, taktowny i opanowany,  
Pracuje tutaj na kawałek chleba,  
Sprawom towarzystw rosyjskich oddany,  
Radby swym trudem przychylić im nieba.*

*Gandhiego przed dwoma laty naśladował,  
Nie dla demonstracji wszelako głodował,  
Lecz tak mu kazała lekarska doktryna,  
Znanego kiedyś w Rosji pana Suworyna.*

XXIII

*Wzrost mierny, mina uparcie sierdzita,  
Rzadko kogo uśmiechem powita,  
Tylko dla kobiet ma spojrzenie inne  
Właśnie dla dziewcząt, co to są niewinne.*

*Posiada niezwykły dar naśladowania,  
I pod tym względem cieszy się uznaniem,  
Potrafi każdego chwycić niezrównanie,  
Skopjować ruchy i głos — bez wahania.*

*Pozatem — z całej tatarskiej parafji  
Najlepszym znawcą jest on — fotografii,*



*Później sfotografuje, a przedtem rozbierze —  
Ma „akt” jej w naturze, ma i na papierze.*

## XXIV

*Czysty, młodzieńczy i taki świeżutki,  
Taki — krew z mlekiem, taki różowiutki,  
Ma miłe liczko i wąsik króciutki,  
Ot, taki puszek pod nosem malutki...*

*Sprawuje się grzecznie i unika wódki,  
Boć przecie zdrowiu szkodzą takie trutki.  
On i bez tego bywa wesolutki  
I nigdy nie weźmie zbyt fałszywej nutki —*

*Toż kompozytor, muzykolog znany,  
Świat tonów u stóp mu leży oddany.  
Nadto — ze swoich obron w sądach słynie.  
O! gdybyż swe mowy mógł grać na pianinie...*

(d. c. n.)

## Jak pracują Minojty?

Odwiedzając w styczniu znajomych w Lidzie, miałem dobrą sposobność pojechać do odległych stąd o kilkanaście klm. Minojtów. Nie powiem, by okolice Lidy — przeważnie równina, przetrzęta tylko korytem rzeczki Dzitwy — mogły stanowić atrakcję szczególną. Co innego zaprowadziło mnie do Minojtów. Oto sporo o nich słyszałem, nieraz też czytałem. Chciałem więc uzupełnić i ewentualnie skorygować swoje wrażenia bezpośrednim kontaktem z miejscem i ludźmi tam zatrudnionymi.

Jak wiadomo, placówka Minojty, tymczasem filja, ma w miesiącach najbliższych stać się parafją. Dziś posiada drzewniany kościółek pod wezwaniem Serca Jezusowego i bł. Andrzeja Boboli. Powstała ona przed kilku laty, z inicjatywy ks. kan. Karola Lubiańca, i dotychczas ma za zadanie koordynować wysiłki kleru archidiecezji wileńskiej, ku nawracaniu prawosławnych na obrządek łaciński. Stąd widać, że łacińskie Minojty mają być odpowiednikiem wschodniego Albertyna o. o. Jezuitów.

Lat kilka mieszkał tu we dworze i gorliwie pracował ks. kan. Lubianiec. Dziś tu wszystko jeszcze tchnie jego duchem, zasadami i metodami. W bieżącym roku szkolnym wyręcza go młody, uduchowiony a pełen zapału ks. Al. Zonn, który nie tylko kapelanuje w kościółku, lecz też pełni obowiązki katechety szkół ludowych. Pracy przeto ma dużo i nie może wyłącznie oddać akcji misyjnej. Pomagają więc mu w tem katechetki—misjonarki, których jest w Minojtach kilka. Typowe to okazy niewykwalifikowanych nauczycielek, jakie pracują u nas tu i ówdzie z ramienia Polskiej Macierzy Szkolnej, będącej ekspozyturą oświatową naszej endeckiej. Namyslałem się, czy warto wdać się z niemi w rozmowę i co mi ona dać może pod względem informacyjnym. Atoli decyduję się po chwili i zwracam się do posiadającej bardziej inteligentny wygląd katechetki. Nudzająca się na wsi panienka nie może dłużej zachować swej rezerwy względem nieznanego przybysza z miasta i rychło się zwierza, jak nudne są stare panie i panny z dworu, który

właściwie dał i daje placówce w Minojtach materialne podstawy bytu. Dowiaduję się dalej, że „fundatorki” ciągną zato z obdarowanych haracz w postaci ustawicznego a niepotrzebnego wtrącania się nie tylko już w prace katechetek, lecz nawet w czynności kościelne księży. Pocieszam, jak umiem, młodą dziewczynę nadzieją na niechybną możliwość zmiany na lepsze. Od rozmowy o dziedziczkach i dobrodziejkach Minojtów, przechodzę do tego, co mnie najbardziej interesuje. Pytam więc o zasady, cele, metody, sukcesy i niepowodzenia. Gawędzimy dalej, a czas mija szybko. Nabieram trochę przekonania do interlokutorki, która się okazuje zanczą w gruncie dziewczyną, lecz tylko, według modnego dziś określenia, *tumanem*. Myślę sobie: jeśliby nie ten tuman w głowie...

Tymczasem zimowe popołudnie rychło poczyna kłonić się ku szarej godzinie. Fioletowy refleks świeżo spadłych śniegów przybiera na sile. Wznoszące się z kominów dymy mówią o nieocenionem dla człowieka o tej porze roku dobrodziejstwie ognia. Mniej więcej o tej godzinie wraca nieobecny dotychczas kapelan—filjalista ks. Zonn. Wraca z ziajaną codzienną włóczęgą musową po szkołach wiejskich, odległych nieraz znacznie jedna od drugiej. Zrzuciwszy z siebie nieprawdopodobną ilość swetrów i kożuszków, wygląda znowu bardzo już chudy a wąty. Od wczesnego śniadania zapewne nic w ustach nie miał, a taki zziębnięty! Zamieniamy kilka tylko zdań na tematy dla pacówki misyjnej w Minojtach zasadnicze. Nie mam poprostu odwagi dłużej go zatrzymywać i podziękowawszy tak ks. Z., jak katechetkom za rozmowę, śpieszę na pociąg do Wilna. W drodze zapisuję w notesie informacje i wrażenia.

Założeniem podstawowem, z którego zrodziła się placówka w Minojtach, jest przeświadczenie, że tylko łaciński i polski katolicyzm jest u nas prawdziwym a pewnym. Stąd już wyłania się i cel, jaki przyświeca robocie księży i katechetek w Minojtach, a tym jest przeciwstawienie się *faktyczne* wschodniej placówce unijnej w Albertynie, drogą wykazania naocznie rzekomo błędu zasadniczego jezuitów tamecznych, a trafności metody własnej, według starej recepty endeckiej.

Przypatrzmy się bliżej tej metodzie. Zbyt mało byłaby aktywną placówka minojtowska, jeśliby nastawiona była na zjednanie zamieszkałych tylko na miejscu lub w pobliżu prawosławnych Białorusinów, lecz przysyłani tu są oni i z innych parafij, gdzie siedzą jednomyślni w niechęci do obrz. wschodniego proboszczowie. I jakież skutki tej pracy są już widoczne? Oto bardziej uświadomiony pod względem swej przynależności wyznaniowej i narodowościowej element ludności miejscowej, dzięki ujawnieniu przez kan. Lubiańca odrazu swych ultra-łacińskich i polonizatorskich tendencji, nie tylko nie osłabł w przywiązaniu do wiary i narodowości, lecz wręcz przeciwnie okrzepł, stwardniał w oporze i nawet sfanatyzował się. Dlatego dziś i jeszcze bardzo długo, nic tu nie wskóra żadna łacińska akcja misyjna. Tak z konieczności Minojty pracują dziś prawie wyłącznie, jeśli chodzi o prawosławnych, na eksport. Przysłany z dalszych stron prawosławny (lub prawosławna), gdy stanie w Minojtach, skierowany jest zwykle wpród do ks. kapelana. Odbywwszy z nim konferencję, przechodzi pod opiekę katechetek. W trakcie tego otrzymuje gratis posiłek w postaci ciepłej stawy. Przygotowanie się do przejścia

na obrządek łaciński nie trwa długo, bo 1—3 dni. Zresztą rzecz jasna—zależy to od kandydata wzgl. kandydatki. Nie stać Minojty na dłuższe ich przygotowanie. Z kolei następuje złożenie wyznania wiary.

Wśród tych, co przechodzą tu na łono katolicyzmu, najwięcej się znajdzie takich, co krok ten czynią ze względów materialnych, służbowych, matrymonjalnych i t. p. Taki prozelita najmniej oczywiście dba o poznanie choćby powierzchowne wiary katolickiej, najwięcej o co rychlejsze dopełnienie formalności przepisowych. Katechizowanie w tym wypadku staje się nędzną farsą, której fałszywość żywo muszą odczuwać obie strony jednocześnie. Taki doszczętnie zmaterializowany „katechumen” złoży *każde* bez różnicy wyznanie wiary, dopełni na odczepnego *wszelkich* ceremonij jakiegobądź kultu na świecie, podpisze *wszelką* przedłożoną sobie przez kapłana formułę... Kierownictwo duchowne placówki w Minojtach uskarżało się, że „nawrócony” w ten sposób wnet albo znika z zasięgu ewidencji ich przez naturalny powrót do domu, pójście do żony *u prymy*, wyjazd dalszy..., albo daje o sobie znać, pośrednio przez ujawnienie tak lub owak swego niezadowolenia z uczynionego kroku, wskutek doznanego zawodu... Pomyślałby może kto, że zawiedli się oni na Kościele, ależ nic podobnego! Przyczyna ich zawodu całkiem gdzieindziej!... Oto tego skrzywdzono przy wymiarze posagu, tamtemu nie wypłacono w całości sumy pieniężnej lub urwano z inwentarza, inny się oszukał na żonie, druga srodze się zawiodła na mężu... Ten się nie dostał do szkoły policyjnej, ów nie został woźnym lub dozorcą więziennym... Któż zliczy przyczyny wszystkich tych zmartwień?!... Przykro słyszeć skargi tych ludzi, jeszcze bardziej czytać ich pełne zniechęcenia i żalu listy...

— Czy zdarzają się wobec tego odpadnięcia z powrotem do prawosławia? — spytałem.

— Takie wypadki nie są nam znane.

— ?! —

— Twierdzimy z całą pewnością, że ci co przeszli u nas na katolicyzm, nigdy, ale to nigdy już do cerkwi chodzić nie będą — z aplombem i nie bez cienia dumy odpowiedziano mi.

Pomyślałem wtedy. Zgoda, być może ci ludzie rzeczywiście więcej już nigdy nie będą chodzić do cerkwi, ale czy będą chodzić do kościoła z łacińską mszą św. i polskim kazaniem? *That is question*. Po chwilowej przerwie, wszczęła się dalsza na ten temat rozmowa.

— No dobrze! Ale czy macie jakąś dla tak nawróconych literaturę. Słowem co im dajecie na drogę? — pytałem.

— Rzeczywiście z tem jest już trudniej. Dotychczas Minojty żadnej działalności wydawniczej nie prowadziły. Brak nam na to środków.

— A jaki odbył ma w Minojtach wydawane po białorusku unijne pisemko jezuitów albertyńskich „Da Złučennia”? lub „K sojedinienju”? — ciągnąłem dalej.

— Co za przypuszczenie! Jak istnieje nasza placówka w Minojtach, nie daliśmy do rąk ludu miejscowego dosłownie ani jednego pisemka białoruskiego. Bo i poco? Wszelka akcja misyjna u nas winna się odbywać w języku naprawdę kulturalnym, a takim językiem jest niewątpliwie polski. Gwar niekulturalnych, jak białoruska — nigdy i nigdzie używać w pracy nie będziemy. Zresztą *lud ich nie chce*,

wszędzie widzimy żywołowy wprost pęd ku polskości.

Wobec powyższego skierowałem rozmowę na nieco inny tor i zagadnąłem po chwili:

— Istnieje przecież jeszcze szereg praktycznych książeczek religijnych dla prawosławnych w języku rosyjskim, jakie wydane zostały dawniej i dzisiaj w Krakowie, przez niewątpliwie polskich jezuitów, którym nikt chyba nie odmówi ani prawowierności katolickiej, ani patriotyzmu polskiego. Więc jak jest z tem?...

— Język rosyjski wprawdzie już należy do kulturalnych, lecz i tą literaturą posługiwać się w Minojtach nie zamierzamy. Im prędzej przypisany do obrzędu łacińskiego zarzuci swoją gwara białoruską lub moskiewszczyzną i stanie się Polakiem, tem lepiej będzie dlań tak pod względem duchowym, jak i materialnym. Poco się z tem ociagać?... Trzeba raczej przyspieszać ten proces. Będzie to z korzyścią dla kościoła, narodu i państwa.

— A jak się przedstawia sprawa z sukcesem liczbowym? — spytałem jedną z pań katechetek.

— Ogół przesadnie ocenia listę nawróconych, grubo ją powiększając. Tymczasem wcale tak dobrze u nas jeszcze nie jest. Praca idzie bardzo powolnie a opornie, *ale nadzieje mamy najlepsze* — dodała rezolutnie.

Pozwoli mi pani wkońcu zadać jej ostatnie pytanie:

— Dlaczego kan. Lubianiec przed rokiem opuścił Minojty i objął ponownie obowiązki inspektora w seminarjum duchownym w Wilnie?

— Ano pewnie uczyć będzie alumnów jak najskuteczniej mają nawracać prawosławnego Białorusina na obrządek łaciński, żeby był dobrym też Polakiem. To u nas przecież najważniejsze dziś zadanie duchowieństwa...

Niestety!

*Przejezdny.*

## Ś. p. Jan Jurkowski.

W nocy z d. 3 na 4 b. m. zmarł nagle wskutek paraliżu serca ś. p. Jan Jurkowski, inżynier-agronom i nauczyciel przyrody w wileńskiej szkole ogrodniczej. Odszedł od nas człowiek, szerszemu ogółowi mało znany, nie biorący udziału w życiu społecznym i politycznym, ale niepozbawiony wielkich zalet umysłu i serca, który w innych warunkach zapewne potrafiłby znaleźć bardziej odpowiednie pole do zastosowania swej gruntownej wiedzy fachowej i nieprzeciętnej inteligencji.

Poprzedzawał na skromnym stanowisku nauczycielskim, bo nie umiał i nie chciał torować sobie drogi do kariery temi sposobami, które dziś jedynie mogą zapewnić powodzenie. Nie nęcił go sukcesy życiowe, okupione ustawicznymi kompromisami i rezygnacją z niezależności duchowej. Był zdecydowanym indywidualistą i nie mógł się zmieścić w żadnych ramach organizacyjnych.

Ś. p. J. Jurkowski nie był z pochodzenia Wilnianinem, Przemiany dziejowe zaniosły go do naszego miasta, w którym osiadł przed kilkunastu laty na stałe i do którego szczerze się przywiązał. Być może odegrał tu pewną rolę atawizm, gdyż ród Jurkowskich pochodzi z pow. wilkomierskiego. Przez dłuższy czas pełnił funkcje sekretarza Wil. T-wa Rolniczego, a po jego zlikwidowaniu przeniósł się na pole pedagogiki, bo w nowoutworzonej Izbie Rolniczej nie znalazło się dlań miejsca.

Jako nauczyciel był ceniony i lubiany przez uczniów

ale w atmosferze szkolnej nie czuł się swojsko. To też chętnie przestawał w towarzystwie licznych przyjaciół osobistych do których zaliczał również piszącego te słowa. Przyjaźń ta sprawiła, że interesował się żywo naszym piśmem i chociaż nie wszystko, co w niem znajdował, odpowiadało jego przekonaniom, darzył je sympatją i zamierzał nawet czynnie w niem współpracaować.

Nagły zgon unicestwił wszystkie te plany i zamiary, wytworząc dotkliwą pustkę w tem środowisku, w którym zmarły ostatnio najczęściej się obracał i które mu zastępowało szerszą arenę działalności.

a.

## Zarzuty autora i replika recenzenta.

Od ks. Franciszka Rutkowskiego, autora monografii o arcybiskupie Cieplaku otrzymaliśmy poniższy artykuł z żądaniem wydrukowania go na zasadzie przepisów prasowych. Autor najwidoczniej nie zna dobrze ustawy prasowej, występując z podobnym żądaniem. Niema w niej bowiem takiego paragrafu, któryby zmuszał redakcję do zamieszczenia wyjasnień i sprostowań autorów, niezadowolonych z krytyki ich utworów. Jeżeli więc drukujemy poniższe zarzuty ze strony ks. Rutkowskiego pod adresem naszego recenzenta, to czynimy tak jedynie w imię bezstronności oraz dla dania możliwości p. Kantrybie szerszego umotywowania swych twierdzeń.

(Red.)

Ogłaszając drukiem w kwietniu r. ub. szkic biograficzny o s. p. arcybiskupie Janie Cieplaku, zaznaczyłem we wstępie, „że próba stworzenia pełnego obrazu drogiego nam wszystkim arcybiskupa, ze względu na niezwykłą obfitość tematu, musi jeszcze wykazywać pewne braki, tem bardziej, że niema dostępu do wielu dokumentów, które są uwięzione w Rosji. Wiele faktów, których ocena z natury rzeczy do przyszłości należy, mogliśmy tylko ogólnie potraktować, ze względu na zbyt bliskie czasy”.

Praca powyższa znalazła przychylną krytyczną ocenę w pismach periodycznych rozmaitych odcieni politycznych. Obecnie zaś, po upływie prawie roku od wydania mojej książki, w „Przeglądzie Wileńskim” Nr. 21—22 r. ub., ukazał się artykuł p. Kantryby p. t. „Panegiryk zamiast biografji”, będący właściwie modnym dziś „odbrązowaniem” czcigodnej postaci zmarłego arcybiskupa Cieplaka.

Pomijając niesłuszne zarzuty p. Kantryby pod adresem kleru katolickiego w Polsce dzisiejszej, który, zdaniem p. K., „dobrowolnie się uzależnił od endecji”, ograniczam się do sprostowania tylko szeregu najgłośniejszych, rażących błędów oraz twierdzeń jako niezgodnych z faktami historycznymi, a mianowicie:

1) Niezgodne z prawdą jest twierdzenie p. K., że, „w spisie terytorjów archidiecezji mohylewskiej pominięte jakoś zostały tak istotne jej części, jak gubernja mohylewska i witebska”; natomiast prawdą jest, że na str. 52 mojej pracy zaznaczyłem, że do diecezji mohylewskiej należą „ziemie dawnej Rzeczypospolitej, nadto ziemie krajów niegdyś katolickich, które uległy protestantyzacji (dzisiejsza Estonia, Finlandja, Lotwa) oraz Rosja środkowa, Sybir aż do Oceanu Spokojnego”.

2) Nigdy nie mówiłem, że wśród profesorów Akademji Duchownej w Petersburgu mieli być wyłącznie „Polacy o zdrowym rozumnym patriotyzmie”. Tak np. na str. 37 z wielkiem uznaniem wspominam o zasługach dla Akademji ks. prof. Baranowskiego, z pochodzenia Litwina, późniejszego biskupa sufragana żmudzkiego, a następnie biskupa sejneńskiego.

3) Nieprawdą jest, że s. p. arcyb. Cieplak był Mazurem. Zagłębie Dąbrowskie bowiem, gdzie się pod strzechą chłopską urodził, nie leży na Mazowszu, a językowo teren ten należy do gwary małopolskiej (patrz mapa narzeczy polskich prof. Kaz. Nitscha, Kraków 1929).

4) Wbrew twierdzeniom p. K., mówiąc o naukowej działalności arcybiskupa Cieplaka jako profesora Akademji Duchownej, nie dopuściłem się przesady. Przytoczyłem bowiem nie tylko pochlebne świadectwa kolegów profesorów i byłych uczniów arcyb. Cieplaka, lecz jednocześnie zaznaczyłem, że studenci nie uważali go za orła w dziedzinie nauki (str. 41). Na str. 42 przytoczyłem list ks. prał. J. Rokosznego, znanego działacza na polu oświaty, którego treść, pod względem bezstronności sądów co do wykładów arcybiskupa Cieplaka, musi zadowolić najwybredniejszego krytyka.

5) Błędem jest również twierdzenie p. K., jakoby

„poplątał chronologję kariery profesorskiej ks. prof. Symona”, którego—zdaniem p. K.—z Akademji usunął dwukrotnie dyrektor departamentu wyznań obcych Mosołow. W rzeczywistości zaś ks. prof. Symon, późniejszy arcybiskup, opuścił Akademję po raz pierwszy za rządów departamentem hr. Emanuela Siewiersa; Mosołow zaś został dyrektorem departamentu dopiero w 1879 r.

6) Rozmija się z prawdą twierdzenie p. K., że „prześladowania ks. Cieplaka przez rząd rosyjski zaczęły się dopiero, gdy został sufraganem”. Jak wtedy wytłumaczyć fakty niezatwierdzenia ks. Cieplaka przez rząd rosyjski na stanowisko rektora seminarjum duchownego w r. 1893 w Petersburgu oraz w r. 1897 w Kielcach?

7) Niesłusznem jest twierdzenie p. K., jakoby w Petersburgu istniały: progimnazjum „żeńskie przy kościele św. Kazimierza oraz trzecie na Piaskach, założone jesienią w r. 1908 przez ks. prał. Około-Kulaka”. Natomiast prawdą jest, że gimnazjum żeńskie L. Czechowskiej w r. 1910 zostało przeniesione na ul. Peterhowską 8 za Narwską Rogatką (patrz „Wiera i Żiźń” 1910 r. Nr. 7, str. 224 ogłoszenie). Na Piaskach istniały do skasowania przez bolszewików znane zakłady ks. kan. Antoniego Maleckiego, późniejszego biskupa. O żadnym zaś trzecim progimnazjum na Piaskach, założonem przez x. Około Kulaka, nikt z petersburskich katolików nigdy nic nie słyszał.

8) Fuzja pism katolickich „Pod znakiem Krzyża” oraz „Wiera i Życie”, wydawanych w języku polskim w Petersburgu, odbyła się nie dzięki „pojednawczości redaktora miesięcznika „Wiera i Życie”, jak twierdzi p. K., lecz zgodnie z oświadczeniem redakcji „Wiera i Życie” — ze względu na brak czasu oraz pewnych przykrości, których doświadczył x. O.-K., jako redaktor miesięcznika (patrz ros. wyd. „Wiera i Żiźń” 1910 r. Nr. 7, str. 223).

9) Dalej twierdzenie p. K., jakoby księgarnia katolicka w Petersburgu była „prywatną własnością 3 osób: A. Lostera, Ludwika Monkiewicza i ks. Około-Kulaka, a pod koniec tylko dwóch pierwszych”, rozmija się z prawdą. Z książki p. t. „Towarzystwiskij dogovor towariszczestwa katolickieskij kniżnyj magazin” Petersburg 1913 r. możemy przekonać się, że w r. 1912 właścicielami księgarni katolickiej w Petersburgu byli: księża Abrantowicz, O'Rourke, Antoni i Jan Wasilewscy, Trojgo, dalej pp. Koncewicz, Najłowicz, Puchla oraz pp. Sabina Monkiewiczowa i Marjanna Michalowska.

10) Mówiąc o wizytacji kanonicznej biskupa Cieplaka w Mińszczyźnie, p. K. zaznacza, że „oddziaływanie polityczne i narodowe odbywało się na plebanjach i po dworach”, dodając, że biskup Cieplak w swych przemówieniach do ludu nigdy nie podkreślał miłości do Polski, bo inaczej władze rosyjskie przerwałyby mu wizytację za mieszanie się do polityki. Wbrew powyższym zdaniom p. K., jak zresztą świadczą nie tylko liczne artykuły pism rosyjskich o wizytacji arcybiskupa Cieplaka, lecz nawet i oficjalne komunikaty władz administracyjnych, arcyb. C. był zmuszony na rozkaz władz centralnych w Petersburgu, przerwać wizytację kanoniczną w Mińszczyźnie z powodów politycznych.

11) Co zaś do ubolewań i żalów p. K., że, podając nazwiska pracowników unijnych w Rosji, pominąłem dwa nazwiska, muszę zaznaczyć, że wobec braku w tej dziedzinie wyczerpujących materiałów, korzystałem tylko z pewnej części dokumentów, które udało się uzyskać, a więc braki są tutaj nieuniknione. Świadomie pominąłem tylko nazwisko pewnego kapłana, który, pracując w Petersburgu na polu nawracania Rosjan na katolicyzm, będąc przez rząd carski pozbawiony za karę stanowiska proboszcza, uznał za możliwe i właściwe u „nóg J. C. Mości” błagać o przebaczenie. Sprawa tego księdza narobiła wówczas w r. 1912 niemało hałasu w całej Rosji. Urzędowe rosyjskie biuro informacyjne wydrukowało w tej sprawie szczegółowy komunikat, zamieszczony nie tylko w pismach rosyjskich, ale również i polskich (np. patrz „Przeгляд Katolicki” Nr. 1, str. 15, 1912 r.).

12) Nieprawdą jest twierdzenie p. K., jakoby w miesięczniku „Wiera i Żiźń”, wydawanym przez x. O.-K. w Petersburgu w języku rosyjskim, „żaden z księży Polaków nie był łaskaw pisywać artykułów”; natomiast niezaprzeczalną prawdą jest, że w tym miesięczniku umieścili swoje artykuły Polacy: ks. prał. W. Czeczott, Czermiński, Kalinka, Rostworowski, Urban, Chodniewicz, St. Trzeciak i t. d. Przytaczam nazwiska tych tylko księży Polaków, których artykuły są podpisane całym nazwiskiem, nie zaś inicjałami albo pseudonimami.

Przy tej sposobności warto podkreślić, że wśród księży petersburskich, którzy dzięki ukazowi tolerancyjnemu z dnia 17-IV 1905 r. rozpoczęli głosić kazania w języku rosyjskim dla Rosjan, byli księża najwięcej przez władze rosyjskie przesładowani jako „fanatycy Polacy”. Nazwiska tych księży: Czeczott i Rodziejewicz.

13) Co do wzmianki p. K. o pracach Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego muszę zaznaczyć, że dzięki energii arcyb. Cieplaka, przy współpracownictwie ks. prał. W. Płoskiewicza, wkrótce po rewolucji w marcu 1917 r., jeszcze przed ogłoszeniem ukazu o powołaniu do życia Komisji Likwidacyjnej, został sporządzony i złożony przez arcybiskupa Cieplaka rządowi tymczasowemu szczegółowy memoriał na ręce prezesa rady ministrów księcia Lwowa p. tyt. „Nieobchodimyja główniejszija izmienienia w prawomomli muszczestwennom polożenji rimsko-katoliczeskoj cerkwi w Rossii, w sootwietstwiu s principami swobody sowiesti” (patrz „Życie Kościelne” z dnia 31-III 1917 r. Nr. 3 oraz następne numery). Większa część tego powyższego memoriału była przedmiotem obrad powstałej nieco później Komisji Likwidacyjnej, a więc i tutaj chyba p. K. przyznać musi, że główną zasługę w tej sprawie przypisać należy arcybiskupowi Cieplakowi, a nie komu innemu.

14) Również trudno zgodzić się ze zdaniem p. K., jakoby „uroczyście przyjęcie w Warszawie dla arcyb. Cieplaka urządzone nie nawskroś samorzutnie, bo był „komitet przyjęcia”. Każdy, kto był świadkiem uczczenia arcyb. Cieplaka przez szerszą publiczność, zwłaszcza przez młodzież akademicką, przyzna, że przyjęcie to odbyło się „nawskroś samorzutnie”. Wszak sam krytyk przyznaje, że komitet musiał działać pośpiesznie i nie mógł przewidzieć wszystkich szczegółów. Dużo stało się poza jego przewidywaniami, a więc stało się samorzutnie. Trudno bowiem pomyśleć, aby komitet mógł nawet przewidzieć np. fakt, że młodzież akademicka wypręgnie konie i pociągnie karetę ulicami Warszawy, aż do kościoła oo. Kapucynów przy ul. Miodowej.

15) Jeszcze dziwniejszymi i pozbawionymi wszelkiej wiarygodności wydają się twierdzenia p. K., że „endecja jednak i w kraju stała się zabiegana, by poróżnić obu arcybiskupów: ordynariusza i sufragana”. Znany nam był artykuł p. t. „Dwaj arcybiskupi”, nawiasem mówiąc, umieszczony nie w „Liberrum veto”, jak twierdzi p. K., lecz w „Gazecie Warszawskiej” Nr. 107 z dnia 17-IV 1924 r. Dla powodów, umieszczonych we wstępie niniejszego sprostowania, t. j. z przyczyn zbyt bliskich czasów i drażliwości tematu, w szkicu biograficznym mało mówiłem o tem, aczkolwiek posiadam sporo materiału w tej sprawie.

16) Jak powszechnie wiadomo, arcybiskup Cieplak umarł przed objęciem rządów w archidiecezji wileńskiej, co jednak nie stało na przeszkodzie p. K., aby wypowiedział zdanie, że nic nie zapowiadało się, aby „problem polsko-litewski na terenie archidiecezji wileńskiej zbliżony do rozwiązania przez katolicki, t. j. szeroki wymiar sprawiedliwości społecznej” będzie pomyślnie uskutecznił przez ś. p. arcyb. Cieplaka. Żadnych jednak faktów konkretnych na udowodnienie swego przypuszczenia p. K. przytoczył.

Kończąc na powyższych uwagach sprostowanie zasadniczych tylko nieścisłości p. K., oczywiście szereg innych mylnych twierdzeń p. K. jako mniejszej wagi, jestem zmuszony pominąć milczeniem. Inaczej sprostowanie moje z natury rzeczy musiałoby być o trzykroć dłuższe.

Ks. Franciszek Rutkowski.

\* \* \*

Ad I. *Latet error in generalibus.* Ziemię dawnej Rzeczypospolitej należały nie tylko do archidiecezji mohylewskiej, lecz też do diecezji łucko-żytomierskiej. Słusznie tedy części archidiecezji, od jakich nazwę swą wzięła, zasługiwały na wymienienie, i to bardziej dokładnie i precyzyjnie, niż to uczynił ks. Fr. R. (Por. tylko str. 35).

Ad II. Mimo uczynionego dla ks. prof. Ant. Baranowskiego wyjątku, ks. Fr. R. pomniejszył jednak w swej pracy dorobek naukowy profesorów akademii duchownej w Petersburgu narodowości litewskiej: Bereśniewicz, Baranowski, Jawnis, Pranajtis, Baltruszys, Maculewicz, Dąbrowski, Matulewicz, Buczys, Grigajtis, Czesnis i in. byli i pozostaną zawsze jej chluba.

Ad III. Termin „Mazur” został użyty dla oznaczenia naogół mieszkanka b. Kongresówki. Terminologia ta jest przyjęta w potocznej naszej mowie.

Ad IV. Sąd swój o kwalifikacjach profesorskich ks. prof. J. Cieplaka oparliśmy również na opiniach jego uczniów.

Ad V. Chętnie prostujemy, na odpowiedzialność ks. Fr. R., błąd co do osoby dyrektora departamentu wyznań.

Ad VI. Jeśliby każda odmowa rządu rosyjskiego za twierdzenia nominacji jakiegos księdza na jakieś stanowisko uważać zaraz za prześladowanie, wzrosłaby niepomniernie a niepotrzebnie liczba męczenników, co by w następstwie obni-

żyło samo to szczytne pojęcie, jakie w spuściznie przekazały nam pierwsze wieki chrześcijaństwa.

Ad VII. Por. *Uzupełnienie i sprostowanie* („Przeгляд Wileński” Nr. 2 z r. b.).

Ad VIII. Dlaczego brak czasu oraz pewne przykrości redaktora muszą wykluczyć równoległe istnienie w nim takiej pobudki, jak „pojednawczość?”...

Ad IX. Co do Księgarni Katolickiej w Petersburgu, to, na podstawie kompetentnych informacji, twierdzimy, że była ona najpierw własnością trzech osób, jako t. zw. *towarzystwo na were*, w którym dwie osoby były ujawnione, a trzecia — urzędnik austriacki — ukryta. Dopiero po ustąpieniu swego udziału przez jednego ze współników temu cudzoziemcowi, towarzystwo siłą rzeczy musiało się zreorganizować i wystawić nowy zespół.

Ad X. Całkiem dostateczną przyczyną wydania przez władze centralne w Petersburgu nakazu przerwania wizytacji kanonicznej bpa Cieplaka w Mińszczyźnie było „oddziaływanie (je) polityczne i narodowe... na plebanjach i dworach”. Zbyt wysokie jest moje mniemanie o osobie ś. p. arcyb. Cieplaka, byśmy mogli posądzić go o nikomu niepotrzebne a publiczne drażnienie władz wystąpieniami politycznymi w stylu ks. kan. J. Borodiczca. Szkodziłoby ono tylko, a nie pomagało sprawie polskiej w ziemi mińskiej. Nikt chyba tego nie rozumiał lepiej od Edwarda Woyniłłowicza.

Ad XI. Niejeden powstaniec 1863 r., syn lub wnuk jego, też zostając w ostatniej potrzebie, wnosił stereotypowe podanie na imię J. Ces Mości o ulaskawienie, darowanie lub skrócenie kary. Raczej dziwne jest to, że rzeczy tej nie chce rozumieć przysięgły chwalec ugodowca tej miary, co ś. p. arcyb. W. Kluczyński.

Ad XII. A jednak nie da się zaprzeczyć wielka powściągliwość petersburskich (tych tylko miałem na myśli) księży Polaków w stosunku do miesięcznika „Wiera i Żiźń”. Ks. Fr. R. próbuje twierdzenie moje obalić, przytaczając nazwiska... *trzech jezuitów galicyjskich* (Czerwiński, Rostworowski, U-ban) dalej *żyjącego z Przemyśla* ks. prof. dr. St. Trzeclaka... i ś. p. W. Czczota, który tu brany pod uwagę być nie może, jako inaugurator właściwy głoszenia w Petersburgu kazań po rosyjsku, za co wymyślał go srodze w „Myśli Niepodległej” Andrzej Niemojewski. Zresztą ze źródeł wiarygodnych wiemy, że właściwie ks. ks. Czczot, Rostworowski, Trzeciak i in. artykulów do tego organu nie pisali, pozwolili tylko redakcji tłumaczyć na rosyjskie niektóre swe rzeczy.

Ad XIII. Wystosowany do Komisji Likwidacyjnej w Petersburgu memoriał arcyb. Cieplaka *nie* był przez nią wzięty pod uwagę. Sprawy tu rozpatrywano na podstawie i w kolejności *Ustawy Wyznań Zagranicznych*.

Ad XIV. Jedno długiego nie wykiucza. Każde udatne a publiczne przyjęcie gościa przez tłum stołeczny winno istotnie robić wrażenie, że odbywa się „nawskroś samorzutnie”.

Ad XV. Nikczemny artykuł p. t. „Dwaj Arcybiskupi”, („Myśl Narodowa” Nr. 16 z d. 19-IV 1924) jest dziełem warszawskiej endecji. Sama ona nawet nie ważyłaby się wypierać się swego autorstwa. Podziwiamy więc odwagę ks. Fr. R., który usiłuje, wbrew wszelkiej rzeczywistości, kwestjonować ten niecyfrowy wycyzn tak mu miłej a bliskiej endecji.

Ad XVI. Wyrażone w listach arcyb. Cieplaka z Rzymu poglądy na to, „jakim celem politycznym ma służyć” dziś wyniesienie stolicy biskupiej w Wilnie do godności arcybiskupiej, rozst zygnyły całkiem rzeczowo a niedwuznacznie sprawę kwalifikacyj nieboszczyka na szczęśliwego pośrednika w sporze polsko-litewskim.

P. Kantryba.

## Od Administracji.

**Ponownie prosimy Sz. Prenumeratorów o wniesienie przedpłaty na rok bieżący i uregulowanie zaległości. Najlepiej pieniądze przesyłać za pomocą przekazów rozrachunkowych (niebieskich)**